

Do dzisiaj ni
o wrócił tamt
Wszedł cicho
za nią na
z karku

wpatr
sie w odbi
na stoliku nap
nie dotknąć, c
wydychanym
ktoś, kto oczę
Dłonie zacis
w pięści. Z
ciała m

Drżał.
- Martynko
Wyprostował się.
na ramieniu.
W pewnym
przed chwil
Andrzej...
Od pierwszej chy
I zawsze znika
tam, na dworc
chwili na autobus do S
dzwiać, że

„to nie autobus na

następn” Mia
„tro” by
wieczność za późn
ojciec czeka na n
pełnym jej zdjęć.
ulubiona zupę gr

MARTYNA

Janusz Leon

Wiśniewski

Mariusz Makowski
Renata Palka-Smagorzewska

Świat Książki

MARTYNA

Janusz Leon
Wiśniewski

Mariusz Makowski
Renata Palka-Smagorzewska

MARTYNA

Redakcja
Jan Koźbiel

Korekta
Jadwiga Przeczek

Copyright © by Janusz L. Wiśniewski, 2011
Copyright © by Świat Książki Sp. z o.o., Warszawa 2011
Copyright © for the e-book edition Weltbild Polska Sp. z o.o., Warszawa 2011

Świat Książki
Warszawa 2011

Weltbild Polska Sp. z o.o
ul. Hankiewicza 2, 02-103 Warszawa

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych - jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

ISBN 978-83-247-2737-7
Nr 90451329

Zamiast przedmowy

Dzisiaj wystukane na klawiaturze słowo przestaje należeć do nas, gdy tylko na chwilę się zapomnimy. *Martyna* powstała w efekcie takiego celowego zapomnienia. W internecie się słowami poczęła, w internecie dorastała i dopiero później wydostała się z sieci i – dzięki wynalazkowi Gutenberga – znalazła swoje miejsce na papierze, w książce.

Inspirowana słowami wielu ludzi opowiada historie, które mogły przydarzyć się wielu z nas. Bardzo aktualne i ważne. Bo miłość, lojalność, wierność, mądrość i uczciwość były i są zawsze aktualne.

Te historie mają swoje fabuły utworzone wspólnym myśleniem wielu ludzi, są odzwier-

ciędlaniem wielu różnych wrażliwości, są naznaczone doświadczeniami wynikającymi z wielu rozmaitych biografii.

Losy tytułowej Marty, a także innych bohaterów i bohaterów tej książki, gdy zamknięte w ramy jednego tylko filmowego scenariusza, mogą nie oddać tego, co chcieliby przekazać ludzi współtworzący tę książkę. Dla Marty byłoby najlepiej, gdyby taki scenariusz ciągle jeszcze powstawał...

Janusz Leon Wiśniewski

(www.wisniewski.net)

marzec 2011, Frankfurt nad Menem

Do dzisiaj nie wie, dlaczego wrócił tamtego wieczoru. Wszedł cicho, bez słowa zsunął na podłogę książki leżące za nią na wersalce, usiadł za jej plecami, podniósł włosy z karku i dotknął ustami szyi. Siedziała bez ruchu, wpatrując się w odbicie jego głowy w szkle monitora stojącego na stoliku naprzeciwko. Ręce, aby jej choćby przypadkiem nie dotknąć, oparł obok ud; oddychał niespokojnie, ogrzewając wydechany powietrzem miejsca, które całował. Zesztywniała jak ktoś, kto oczekuje ciosu. Dłonie zacisnęła w pięści. Zbliżył usta do jej ucha, zamknął kolczyk z kawałkiem ciała między wargami. Drżał.

– Martynko moja – wyszeptał.

Wyprostował się. Poprawił jej włosy, pocałował sweter na ramieniu. Wstał i wyszedł. Siedziała dalej bez ruchu. W pewnym momencie podniosła rękę, dotknęła ucha, które on miał przed chwilą w ustach, i przesunęła palce do warg. Andrzej...

Od pierwszej chwili był dla niej, gdy go potrzebowała. I zawsze znikał, gdy czuła do niego wdzięczność. Już tam, na dworcu, dwa lata temu, gdy przybiegła w ostatniej chwili na autobus do Szczytna i kierowca powiedział jej drwiąco, że „to nie autobus na działki” i że „już jutro jest następny”. Miała łzy w oczach, bo „jutro” to było o całą wieczność za późno. Bo to dzisiaj ojciec czeka na nią w domu pełnym jej zdjęć. Bo zrobił jej ulubioną zupę grzybową; opowiadał od kilku dni psu, że przyjeżdża do nich Martynka; będzie stał na progu dwie godziny przed czasem i czekał, aby wnieść walizki, których nigdy nie miała; pomalował jej pokój, przesunął łóżko do okna i zmienił firanki na krótsze, żeby zaraz po przebudzeniu mogła spojrzeć na jezioro.

– Proszę pana, ja mogę siedzieć na podło-

dze, mogę stać... Ja muszę dojechać dzisiaj do Szczytna, proszę...

W tym momencie chłopak w zielonej kurtce stanął przy kierowcy i podając mu swój bilet, powiedział:

– To może ja pojedę dzisiaj na działki, a pan weźmie tę panią. Niech pan otworzy bagażnik, żebyśmy mógł zabrać bagaż.

Kierowca spojrział na niego rozdrażniony i nie wyjmując papierosa z ust, podniesionym głosem skomentował:

– Panie, trzeba wiedzieć, co się chce. Ja muszę teraz przewalać cały bagaż, żeby wyciągnąć pana towar. Cholera, dżentelmen się znalazł...

Chłopak odwrócił się plecami do kierowcy i patrząc jej w oczy, powiedział cicho:

– Nie zwracaj na niego uwagi. Masz miejsce przy środkowym wejściu. Ja mogę pojechać jutro. Na mnie nikt nie czeka.

– Ale... Dlaczego? Ile kosztował bilet? Proszę, powiedz. Zaczekaj!

Nie słuchał. Odwrócił się i odszedł.

Spotkała go dwa miesiące później. Zupełnie przypadkowo. Ojciec dał jej pieniądze na

komputer. Dwa razy więcej niż potrzebowała. Odkąd wyprowadziła się z domu – jeszcze na długo przed rozwodem rodziców – miała uczucie, że chciał wynagrodzić jej to, że nie ma go pod tym samym adresem. Że ją „zostawił”. Jak gdyby chciał zmazać winę, której tak naprawdę wcale nie było. Nigdy nie uważała, że ją zostawił. Był dla niej zawsze. Pod „tym samym adresem” i pod wszystkimi innymi. Jeśli wyjeżdżał na dłużej niż jeden dzień, natychmiast dzwonił, aby podać jej numer telefonu, pod którym będzie osiągalny.

Czasami rozmawiała o tym z Magdą, przyjaciółką ze stancji. Starsza od niej o sześć lat, „emerytowana studentka”, jak się czasami nazywała, rozpoczęła studia, gdy jej rówieśnicy je kończyli. Magda tak naprawdę nie miała ojca. Umarł przed jej urodzeniem i znała go tylko z fotografii. I ta Magda, której słowo „wzruszenie” było tak obce jak plaża Eskimosom, potrafiła zamilknąć i słuchać, patrząc jej w oczy. Magda uwielbiała ojca Martyny. Jego wizyta na stancji była zawsze wydarzeniem. Magda potrafiła bez wahania zmienić wszystkie plany, odwołać nawet randkę, aby tylko móc usiąść z nimi przy

świecach i słuchać, jak on opowiada. Pewnego razu, gdy zostały wieczorem same po jednej z takich wizyt, Magda wyciągnęła z metalowej kasety, którą trzymała w nocnej szafce, zapisaną drobnym pismem kartkę. Napełniła winem szklanekę po herbacie, wypila duszkiem, usiadła na podłodze i zaczęła czytać. Nie, wcale nie czytała. Zamknęła oczy i recytowała. List, który ojciec napisał do niej przed jej urodzeniem. List do nienarodzonego jeszcze dziecka, na które czeka i za którym tęskni. Spały razem tej nocy. Tak naprawdę zaprzyjaźniły się właśnie wtedy, wtulone w siebie.

Dwa miesiące po wizycie w Szczytnie wzięła pieniądze, które dostała od ojca, i weszła do pierwszego sklepu, na którego wystawie stały komputery. Przechodziła powoli wzdłuż półek, czytając opisy stojące przy szarych metalowych skrzynkach. Nie rozumiała zbyt wiele; tak naprawdę podobał się jej tylko jeden. Był zupełnie inny. Wyglądał jak futurystyczny telewizor z fioletowego pleksiglasu. Po prostu śliczny. Chciała taki mieć, nawet jeśli nie był komputerem. Nachyliła się, aby zobaczyć cenę, i w tym momencie usłyszała cichy głos: